

TAJEMNICA
HOTELU
GRANDSPEJSZYN

Text and illustrations © copyright by Anna Mietelska, 2022
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2022

Anna Mietelska

TAJEMNICA
HOTELU
GRANDSPEJSZYN



Nasza Księgarnia

Dla Hani i Adasia

– Haniu, napiszę książkę o Twoim hotelu.

Pomożesz mi wymyślać historie?

– Mamo, ja nie muszę nic wymyślać.

Po prostu opowiem ci, co tam się dzieje.



Rozdział I

MIESZKAŃCY HOTELU

Hotel Grandspejszyn był stary. No, nie tak stary, żeby się rozpadał, nie groziło mu, że zaraz się zawali. Nie, po prostu miał już swoje lata i to było widać. Nawet po wielkich porządkach i gruntownym sprzą-taniu miało się wrażenie, że jest przykurzony i taki... jakby lekko zaniedbany.

Choćby deski na zewnątrz – przez lata wypaliło je słońce i teraz miejscami miały kolor przypalonego kakao. Schodki prowadzące na ganek kruszyły się po bokach, rozpychane przez małe roślinki – do-prawdy nie wiadomo dlaczego te trawki tam właśnie postanowiły ros-nać. A z kolei dach gdzieś tam przykrywała warstewka puszystego mchu... To akurat czyniło hotel jeszcze bardziej przytulnym.

W południe, kiedy większość domowników uciniała sobie drzem-kę, często słychać było, jak cicho trzeszczą okiennice. Zapewne wspo-minały czasy, kiedy były świeżo wyheblowane i kiedy wspólnie ma-lowali je na brązowo Łilkinson oraz Ella, dumni właściciele hotelu.

Wtedy, przed laty, otwierając hotel, Łilkinson nie myślał, jak to się wszystko potoczy. Po prostu lubił gości, to ciągle zamieszanie w domu. Bawiło go wpisywanie ich nazwisk do wielkiej księgi, kiedy przyjeź-dzali, a potem przedłużanie pobytu – bo mało kto decydował się na wyjazd. Zwykle podróżni zjawiali się ni stąd, ni zowąd na ganku z opa-



słą walizeczką lub małym tobołkiem i oznajmiali, że zabawią tu jakiś czas. A następnie zostawiali na całe lato, potem na kolejne... i kolejne. Każdy z innej, często tylko sobie znanej przyczyny. Właściciele hotelu nie zadawali pytań.

A jednak Łilkinson z zaciekawieniem obserwował swoich gości, szczególnie w porze śniadania lub obiadu. Jeśli zauważył na przykład, że Pan Libling spod dwójki znów wpada w przygnębienie i wzdycha ciężko nad plackiem z borowikami, wyciągał ze starego kredensu pękatą karafkę i dwie szklaneczki.

– A próbował pan już mojego soku z berberysu? – pytał. – Nie ma sobie równych. Powstaje według specjalnej receptury. Z tajnym składnikiem! Dostałem ten przepis od babci, ale wiem, że jest stary jak świat!

Pytał tak za każdym razem, choć Pan Libling mieszkał w hotelu od kilku lat i dość często sączył sok razem z Łilkinsonem na tarasie. W takich chwilach siadali w miękkich fotelach, wyciągając z lubością łapki, i pozwalali słońcu je ogrzewać. W chłodne dni natomiast okrywali się kocami i wdychali rześkie powietrze.



– Czyż nie cudowny widok? Zielona Kotlina jest najpiękniejsza o tej porze roku, nie sądzi pan? – pytał Łilkinson niezmiennie i wiosną, i jesienią.

Najczęściej jednak obaj w milczeniu popijali blad różowy płyn, wpatrując się w wysokie świerki i ciemnozielone krzaki ostrokrzewu okalające Hotel Grandspejszyn. Przy dobrej pogodzie widać było nawet drogę do jeziora i linię jasnego piasku na plaży.

Łilkinson dobrze wiedział, że markotność Pana Liblinga zniknie równie nagle, jak się pojawiła. Stworzonka takie jak ryjkowce po prostu tak mają – czasem muszą się posmucić.

Łilkinson zaś był furstem, jednym z ostatnich w Zielonej Kotlinie. Za strumykiem mieszkał jeszcze jego dość wiekowy stryj o popielato-piaskowym futerku, a tuż u podnóża Sępiej Góry swój dom miało ku-

zynostwo Elli z całą gromadką puchatych dzieci. Malcy wpadali czasem do Hotelu Grandspejszyn, robiąc tyle hałasu, że aż trzęsły się szyby.

Mimo upływu lat Ella zachowała swój wdzięk, który kiedyś tak oczarował Łilkinsona. A właściwie tego wdzięku było coraz więcej! Futerko Pani Łilkinson błyszczało niczym jedwab, nawet jeśli krzątając się po kuchni, czasem pobrudziła się mąką lub została niespodziewanie zaatakowana przez syrop jagodowy.

Podobne wypadki zdarzały się często, bowiem roztargniona Ella nie zwracała uwagi na takie drobiazgi jak postawiony na krawędzi stołu słóiczek czy piramida rozchybotanych filiżanek po podwieczorkowej kawie. Pochłonięta obmyślaniami nowych potraw, często coś potrącała, przewracała i wysypywała. Czasem też łączyła różne przepisy, pozornie nie do pogodzenia... No cóż. Pani Łilkinson była prawdziwą artystką. A sztuka, także ta kucharska, wymaga eksperymentów!

Pomysły na potrawy często wpadały furdce do głowy zupełnie nieoczekiwanie. Ella budziła się na przykład z silnym postanowieniem przyrządzenia potrawy z dyni, choć wcale nie był to sezon na dynie. Szukała wtedy gorączkowo w spiżarni czegoś, co mogłoby dynię zastąpić. Zglądała do garnuszków, przepatrywała miseczki i puszki, aby w końcu wyciągnąć słoje z brzoskwiniami w syropie, bo wydawały jej się najbardziej do dyni podobne. Mieszała je razem z przysmażoną cebulką, czosnkiem i tysiącem przypraw, tworząc doprawdy przedziwne danie.

Głodni mieszkańcy hotelu po pierwszej łyżce na ogół mieli zdziwione miny, ale już po drugiej pałaszowali wszystko z zachwytem, a niekiedy nawet wylizywali talerze.



Od czasu do czasu Ella zapomniała zagnieść makaron, gdyż przez całe popołudnie malowała wzorki na jednym ze swoich niezliczonych imbryczków do herbaty (czy już wspominaliśmy, że była także utalentowaną malarką?). I wtedy na stole lądował sam sos – wyjadany potem łyżką z miseczek. Ale nikomu to nie przeszkadzało. Jeśli zaś lato było gorące i w ogródku obrodziły truskawki, goście hotelowi wiedzieli, że zapowiada się sezon zdumiewających posiłków z tymi owocami w roli głównej. Niekoniecznie deserów!

Na pierwszym piętrze pod numerem trzecim mieszkał kot Dżersi, najmniejszy z gości hotelu. Choć nie do końca mieszkał, raczej tylko nocował. Codziennie rano wykradał się ze swojego pokoju, najczęściej zanim wstali inni domownicy, i wracał w nocy.

Co robił przez cały dzień? Tego nikt nie wiedział.

Łilkinson niekiedy wypatrywał kota z tarasu, ale bez powodzenia. Czasem bladym świtem zaspana Ella natykała się na Dżersiego na korytarzu. Pytała wtedy, czy nalać mu do garnuszka trochę zupy na wynos, lecz kot odmawiał. Zostawiała więc każdego wieczoru talerz z kolacją pod drzwiami lokatora, a rano zabierała pusty.

Jeśli pytano kota, co u niego i czy miło spędził dzień, Dżersi tylko się uśmiechał i bez słowa biegł do swojego pokoju.

Niewielki pokoik numer piętnaście, na poddaszu, zajmowała Mo – nieduże stworzonko z gatunku zwisłouchów. Mo – odkrywczyni i majsterkowiczka – rzeczywiście miała uszy sięgające niemal do ziemi.



Najczęściej jednak wiązała je na wielki supel z tyłu głowy, bo nie lubiła, gdy jej się plątały.

Zupełnie przeciwnie niż Ajmi, czyli młodsza siostra Mo, która mieszkała piętro niżej. Ona ze swoich uszu była bardzo dumna. Codziennie rano szczotkowała porastające je futerko, a następnie zaplatała na nich różne wstążki i kwiatki. Uszy były jednak nie tylko ozdobą: przede wszystkim pomagały utrzymać równowagę w tańcu. Bo musicie wiedzieć, że Ajmi była znakomitą tancerką.

Mo natomiast futerka nie chesała nigdy. Raz tylko, pewnej wiosny, ufarbowała je na zielono. Wyglądała wtedy jak wielka kępa trawy z jasnym noskiem pośrodku. Ale Mo nie chciała się wcale upiększyć. Wybierała się wówczas na jedną ze swoich wypraw na Sępią Górę i potrzebny jej był kamuflaż.

To znaczy, że podczas ekspedycji wołała pozostawać niezauważona. Badała przecież dzikie ostępy, w które nikt z mieszkańców Zielonej Kotliny wcześniej się nie zapuszczał.

Pokoik Mo znajdował się najwyżej ze wszystkich. Prowadziły do niego kręte schodki, ale ona na ogół z nich nie korzystała. Mówiła, że to strata czasu. Z wiaderka, różnych linek i kółek skonstruowała zewnętrzną windę. Otwierała okno, wskakiwała do wiaderka, a następnie ciągnęła za zieloną linkę i zjeżdżała na dół. Jeśli chciała wjechać na górę, ciągnęła za szarą. Nikt z gości hotelu nie rozumiał działania tego mechanizmu, więc chętnych na przejażdżkę windą jakoś brakowało.

W pokoju Mo też było wiele sprytnych urządzeń. Na przykład cały system sznurków, który pozwalał na wykonywanie rozmaitych czynności bez wstawania z łóżka: chociażby na zgaszenie światła lub zamknięcie okna, a także na obrócenie wiszącego pod sufitem krysz-

tału. Ten niezwykle przedmiot, lśniąc w promieniach słońca, rozświetlał po całym pokoju malutkie tęcze.

Ajmi lubiła tańczyć pod obracającym się powoli kryształem i łapać uszami jego różnokolorowe błyski.

Ach, ten kamień wydawał się czarodziejski!

Tak samo zresztą jak okoliczności, w których trafił do Hotelu Grandspejszyn...

